



Wszystkie kłamstwa Adama

FIONNUALA KEARNEY

JEGO ZDRADA TO DOPIERO POCZĄTEK...



FIONNUALA KEARNEY

Wszystkie kłamstwa Adama

Przełożył
Przemysław Hejmej



TYTUŁ ORYGINAŁU:
You, Me and Other People

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Anna Brzezińska

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Darina Derzkaya, © Sarawut Aiemsinsuk / Shutterstock.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Fionnuala Kearney 2015

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-66815-57-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl



Część I



*Mówią, że nawet najcnotliwsi ludzie
z wad są zlepieni i dla wad swych właśnie
zdają się lepsi.*

– WILLIAM SZEKSPIR

Miarka za miarkę, akt 5, scena 1, tłum. Leon Ulrich

Prolog



Nie powinno mnie tu być. Jestem tego równie pewny, jak własnego imienia, numeru ubezpieczenia zdrowotnego oraz daty i godziny narodzin mojej córki. Wiem, że nie powinno mnie tu być. Adam Hall... NC 100Z9T... Trzeci marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, godzina ósma cztery, Meg Sarah-Louise Hall przyszła na świat przez cesarskie cięcie jako pierworodne dziecko mojej żony Beth oraz moje. Głowa trzęsie mi się we własnym rytmie, sumienie gryzie, przypominając, że nie powinno mnie tu być.

Przejeżdżam obok tego domu. Nie ma wolnego miejsca do zaparkowania, muszę sunąć dalej. Na fotelu pasażera w samochodzie leży opakowane pudełko z prezentem. Dzisiaj są czyjeś urodziny. Długo wybierałem ten podarunek, chciałem, aby był odpowiedni. To dla mnie ważne, żeby wiedzieli, co czuję. Na końcu wąskiej ulicy zawracam, raz jeszcze próbuję znaleźć gdzieś w pobliżu parking. Jakies dziesięć domów dalej ktoś właśnie odjeżdża, wślizguję się swoim wozem na wolne miejsce.

W domu trwa impreza; jest oznakowany wiele mówiącą wiązką przyczepionych do podstawki balonów. Zerkam na pudełko. Kiedy je pakowałem, dobrze ukryłem pod papierem

taśmę klejącą, jest niewidoczna na zewnątrz. W któreś święta Bożego Narodzenia Beth pokazała mi, jak to się robi. „Trzeba ją schować. Wtedy jest o wiele ładniej”, powiedziała. I miała rację. Ukryte rzeczy są o wiele schludniejsze.

Opuszczam szybę. Z domu z balonikami dochodzą donośne odgłosy. Mija mnie jakaś kobieta z ciężką na oko torbą na ramieniu, niewielką paczką oraz butelką wina w rękach. Nie mam pojęcia, kim jest, ale idzie szybko, jak gdyby była spóźniona. Niecały metr od mojego samochodu, oddzielony wąską ścieżką, rośnie kwitnący jaśmin. Wciągam w płuca jego intensywny zapach, zamykam oczy i natychmiast przenoszę się w czasie, czuję kwiatową woń perfum mojej matki. Lewą dłonią ściskam hamulec ręczny, a w mojej głowie rozbrzmiewa dziecięca rymowanka, którą mi śpiewała, rymowanka o Dicku Whittingtonie. Odwracam głowę. Patrzę na prezent. Zagryzam górną wargę. Nie powinno mnie tu być.

Włączam silnik samochodu. Pozbędę się tego pudełka i więcej nie wrócę. Obiecuję sobie, że nie wrócę. Mówię to na głos, zwracam się do siebie w lusterku wstecznym, wymawiam słowa powoli, jak gdyby zależało od nich moje życie...

W drodze powrotnej myślę z przyjemnością o niedzielnej kolacji, która na mnie czeka. Wejdę do domu, ucałuję żonę. Najpierw wezmę prysznic, aby zmyć z siebie poranne szaleństwo. Zanurzę się w życie, jakie kocham. Wyobrażam je sobie jako zapakowane w papier prezentowy, jednolite i gładkie od zewnątrz, oklejone z obu stron taśmą albo czymkolwiek niezbędnym, by jego zawartość pozostała schludna i nienaruszona – ukryta przed ludźmi, których kocham.

Rozdział 1



Mój mąż to bałamut – powtarzam.
Ona siada, krzyżuje nogi, zapisuje coś w notatniku w blade linie.

– To trzysylabowy wyraz oznaczający niewiernego palanta. Jak niby mam się czuć? On pieprzy jakąś kelnerkę... – Ostatnie słowo smakuje na moim języku jak Marmite, ekstrakt z drożdży i warzyw. W myślach przepraszam wszystkie sympatyczne kelnerki na świecie. I ujawniam na zewnątrz, jak się naprawdę czuję, gdy moja prawa dłoń zaciska się na lewym boku. – Czuję się zdradzona. – Ściszam głos. – To boli.

Doktor Caroline Gothenburg współczująco kiwa głową. Ma oliwkowe oczy osadzone w szerokiej twarzy okolonej złotorudymi lokami i długie, kształtne nogi w lśniących rajstopach – nie mogę przestać się zastanawiać, czy ona też, w tym swoim lśniącym życiu, została kiedyś zdradzona. Ściany gabinetu zdobi mnóstwo cienkich jak ołówki chromowanych ramek podkreślających stosowne kwalifikacje. Są równie jasne, jak piękne... Stwierdzam, że skupiam się bardziej na niej niż na sobie.

– Chciałabym, żeby na następną sesję przygotowała mi pani oś czasową. – Wybija mnie z zamyślenia.

Czuje, jak kolejne bruzdy na moim czole, jedna po drugiej, zaczynają układać się w stos. Jestem inteligentną kobietą. Co ja tutaj właściwie robię, do cholery? Ponad stolikiem rzucam okiem na schludną, uporządkowaną postać, przełykam zakradającą się do gardła panikę.

– Dzięki temu lepiej panią poznam – mówi. – Kim jest Beth? Dlaczego Beth jest taka, a nie inna? Chciałabym zrozumieć, kim pani jest, skąd przychodzi.

Gdzieś w oddali rozlega się dźwięk syreny, jak gdyby ostrzegając mnie przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

– Ja też – szepczę.

W samochodzie smartfon informuje mnie, że mam trzy nieodebrane połączenia. Jedno od Josha, mojego agenta, i dwa od Adama. Gdyby mój telefon był naprawdę inteligentny, to sam wykasowałby numer tego ostatniego. Rozmyślałam o tym posunięciu – ale wymazanie go z aparatu nie wymaze go jednocześnie z mojego mózgu. Włączam Bluetootha, oddzwaniem do Josha i kieruję się do najbliższego supermarketu.

Dwadzieścia minut później wyładowuję zawartość wózka na zakupy i patrzę, jak suną po taśmie. Kilka pomarańczy, tuńczyk, kukurydza, badziewne czasopisma, podejrzana tortilla z kurczakiem oraz dwie butelki chłodnego sauvignon blanc.

„Czy twój mężczyzna to babiarczy?” – krzyczy nagłówek jednego z przemieszczających się magazynów. W sumie jest ich cztery, wszystkie z podobnymi rewelacjami mającymi mnie zapewnić, że nie jestem jedyna, że tak naprawdę na świecie dochodzi do masowych zdrad.

– Punkty? – pyta zza kasy młoda dziewczyna o kawowej skórze i migdałowych oczach.

– Punkty? – powtarzam.

– Ma pani kartę na punkty? – mówi, tłumiąc ziewnięcie.

Zauważam maleńki tatuaż jing i jang na jej nadgarstku.

Mam wielką ochotę nakrzyczeć na Pannę Punkty Plus Jing i Jang. Chcę na nią nawrzeszczeć, żeby nie zadawała takich głupich pytań, i dowiedzieć się, czy zauważyła ten najważniejszy temat, o którym donoszą czasopisma w moim koszyku, powiedzieć jej – gdyby nie zauważyła – że jeśli chodzi o dzisiejsze traktowanie klienta, dostanie ode mnie zero punktów. Mam ochotę zalać ją strumieniem paskudnych słów – już się właściwie formułuję w mojej głowie. A potem uświadamiam sobie, że jest niewiele starsza od Meg, mojej dziewiętnastoletniej córki, i jako taka nie może jeszcze wiedzieć, jak smakuje zdrada. Oddycham głęboko – przecież to nie wina Panny Jing-Jang, że mój mąż okazał się gnojem...

Kręcę tylko głową. Nie, nie mam żadnych punktów. Gdy wracam do samochodu, cała się trzęsę. Cicho liczę do stu, na dno umysłu spycham fakt, że on naprawdę mnie zostawił, że przed chwilą spędziłam godzinę w gabinecie terapeutki. Uspokajam dłonie, siedząc na nich przez chwilę, potem je otrząsam, włączam zapłon i kieruję wóz do domu.

Nasz dom to piękny dwupiętrowy bliźniak w stylu edwardiańskim stojący w wysadzonej klonami alejce na przedmieściach Surrey. Kupiliśmy go jako ruinę czternaście lat temu. Jest z czerwonej cegły, z oryginalnymi wykuszowymi oknami. W środku zburzyliśmy ściany, wznieśliśmy nowe – co w sumie nieco przypomina nasze małżeństwo, tyle że dziś dom wygląda jak wizytówka sklepu Homes & Gardens, natomiast ja, jedna połówka tego małżeństwa, nadaję się raczej do ilustracji „przedtem” w gabinecie chirurga plastycznego.

Pod kołami auta chrzęści żwir. Wpatruję się w ukochany budynek, zastanawiając, czy trzeba go będzie sprzedać, czy

skończę w jakiejś małej chatynce gdzieś na końcu świata. Masuję ręką wzburzony żołądek; znów miga mi przed oczami postać tej kelnerki, nie pierwszy raz zresztą. Jest to obraz niekompletny, o rozmytych konturach. Nie mam pojęcia, czy ta kobieta ma długie, czy może krótkie włosy, proste czy kręcone, jest blondynką, a może brunetką. Jest po trzydziestce czy czterdziestce? Nie wiem. Tylko żeby nie była dwudziestolatką, proszę! To byłoby jeszcze trudniejsze do przelknięcia, nie wspominając już o tym, jak poczułaby się Meg. Myśl, że jej kochany tatuś pieprzy kogoś, kto wciąż kupuje sobie ciuchy w Topshopie, to już za wiele.

Nagły obraz ich dwojga, jak uprawiają seks, wciąga mnie w zasadzkę. Czy ona krzyczy jak ja? Czy on trzyma ją za włosy na karku tak samo, jak robi to mnie? Po twarzy spływają mi ciche łzy. Muszę to powstrzymać... Ocieram je rękawem, jeszcze chwilę wpatruję się w ogród Adama. Dość szybko dochodzę do jednego wniosku. On nie sprzeda mojego domu. Będzie mnie stąd musiał wynieść w dębowej skrzyni.

Wchodzę do środka, rzucam zakupy i idę na górę, do mojego miejsca pracy na poddaszu. Jest zalane naturalnym światłem wpadającym przez okna dachowe marki Velux. To właśnie tutaj siadam, naprzeciwko dwóch wielkich tablic z notatkami i melodiami, żeby sporządzić wymaganą oś czasową. Po chwili mam już sześć naprędce napisanych linijek: oto jestem wykształconą w szkole zakonnej jedyną żyjącą córką ekscentrycznej matki i pijącego ojca. Kontynuuję spowiedź, modląc się w duchu, aby doktor Gothenburg okazała się dobra w swoim fachu; tymczasem moja ręka sama szkicuje na kartce przeszłość. Niebawem jestem dzieckiem, które traci ojca z powodu jego miłości do alkoholu, żoną, której mąż zaliczył już pierwszy numerek na jedną noc, oraz matką, która czuje się winna, ponieważ pragnie macierzyństwa bez samotności.

Gapię się na swoje dzieło rozpisane na dwóch stronach papieru – niezbyt to spektakularne życie. Z drugiej strony Samarytanie nie mieliby tu zbyt wiele do zdziałania, ale czy to pomoże doktor Gothenburg lepiej mnie poznać? Czy postać młodszego braciszka, który zmarł w wieku trzech lat (ja miałam wtedy sześć), ujawnia coś, czego sama nie jestem świadoma? Czy moje ambicje odniesienia sukcesu jako autorki piosenek pomogą ukazać moją osobowość? Josh zapewnia mnie regularnie, że jestem druga w kolejności, jeśli chodzi o hity w stylu country. To tylko ja mam ciągle wątpliwości. Jestem natomiast pewna – to coś krzyczy do mnie z kartki – że mój mąż mnie zdradza. Wziąwszy pod uwagę, że wykonał ten numer przynajmniej dwukrotnie, należy go uznać za seryjnego oszusta. Mam to czarno na białym, niech doktor Gothenburg sobie poczyta. Słowa potwierdzające jego winę mogłyby równie dobrze rosnąć na drzewach.

Odzywa się moja komórka, ale tym razem śmieję się głośno na widok numeru. On naprawdę myśli, że jeśli będzie ciągle dzwonił, pewnego dnia złość mi po prostu minie. Jednak gdzieś w głębi duszy chciałabym, aby tak było, ponieważ ów gniew zżera mnie od środka. Czuję, jak owija się wokół mojej istoty, jak ją przeżuwa. Uznając, że potrzebny jest w tej chwili jakiś efekt dźwiękowy, mój żołądek postanawia głośno zaburzczyć. Schodzę na dół, mijając po drodze zdobione fotografiami ściany.

Policyjny zbiór zdjęć przestępców... Palce prawej dłoni szybują ponad nimi, stęsknione dotyku fotek z dzieciństwa Meg, pragnące postukać w te młode, szeroko uśmiechnięte wizerunki Adama i mnie. Stare zdjęcie ślubne wypełnione nadzieją i miłością. Inna fotka Adama, zrobiona podczas grilla u sąsiadów – pozuje niczym model z katalogu, twarz ma zwróconą do aparatu, zadarty podbródek, długie opalone

nogi w bermudach. Krótko przycięte włosy barwy świński blond lśnią w letnim słońcu. Schodzę po stopniach powoli, zagubiona w tych latach wspomnień. Nim robię ostatni krok, uzmysławiam sobie, że gdyby ktoś – zaledwie parę tygodni temu – zapytał mnie, czy jesteśmy szczęśliwi, odpowiedziałabym chętnie: „Tak, oczywiście”. Jakże świetnym kłamcą jest mój mąż.

W kuchni chwytam kieliszek do wina i napełniam go po same brzegi zimnym sauvignon. Potem grzebię w jednej z siatek na zakupy, wyciągam z niej tortillę z kurczakiem i żuję powoli, posłusznie nasłuchując głosu w mojej głowie, który mówi, że muszę jeść. Nie chcę jeść. Chcę się tylko napić. Biorę tęgi łyk wina, czuję, jak alkohol spływa w dół, natychmiast trafiając w miejsce, w które ma trafić.

Późnopołudniowe wrześnie słońce wpada przez przesuwne drzwi wychodzące na ogród z tyłu domu. Spaceruję w jego cieniach, wchodzę i wychodzę, z tortillą w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej. Jeden kęs jedzenia na jeden łyk wina... A pomiędzy nimi nucę słowa piosenki, którą napisałam wczoraj, czuję nieznaczną krzywiznę uśmiechu na twarzy. Wcześniej sprawdzałam w słowniku synonim dla wyrazu „łajdak”. „Nikczemnik” – podstępny, podły tchórz. Adam Nikczemnik. Szeroki uśmiech utrudnia mi przeżuwanie.

Muszę wrócić do pracy, zanurzyć się w nią. Ruszam z powrotem na górę, ale zawracam i siadam bez ruchu na czwartym schodku. Wpatruję się w salon naprzeciwko, sparaliżowana. Poznawcza część mojego mózgu została wyłączona. Nogi odmawiają posłuszeństwa, ręce mam jakby przyklejone do kolan. Nękana migawkami wspomnień o miejscach, w których razem byliśmy, piosenek, które śpiewaliśmy, wspólnie spędzonych chwil, drętwieję ze strachu przed nowym początkiem. Od czego mam zacząć? Jeśli będę po prostu oddychać,

czy czas szybciej minie? Kiwam głową. Tak, tak się właśnie stanie. Muszę to tylko przeczekać, a po chwili, nagle, zacznie się już następny miesiąc, nowy początek, niezależnie od tego, czy go w ogóle zauważę, czy nie.

Wstaję z miejsca dopiero wtedy, gdy otacza mnie ciemność. Schodzę, włączam światło, wydjmuję z lodówki butelkę wina, po czym niosę ją do salonu. Pół godziny później patrzę w przesadnie wielki plazmowy telewizor Adama, przedłużenie jego penisa. Dzwoni telefon stacjonarny.

„Jesteś zwolniona!” – Na ekranie pojawia się lord Alan Sugar, który mierzy palcem w jakąś niespełniającą jego oczekiwań kobietę.

– No, koleżanko, ja wiem, jak się musisz teraz czuć – mruczę współczująco. – „Beth, jesteś zwolniona!” – Unoszę kieli-szek w stronę osoby, którą lord Sugar właśnie wyrzucił, i odbieram telefon pewna, że o tej porze to musi być Meg.

– Meg?

– Beth, to ja...

To nie Meg, moja cudowna dziewczynka, mój skarb. To on, gnojek, który dostarczył jej połowę DNA, łajdak, za którym – ledwie usłyszawszy jego głos – tęsknię każdą komórką ciała. Ukryte w klatce piersiowej serce wali jak oszalałe.

– Jak się masz? – pyta. – Beth, nie odkładaj słuchawki. Proszę. Musimy porozmawiać.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

Milczy.

– Jesteś z nią? – rzucam.

Wciąż ta skruszona cisza.

– Wiesz, że jesteś łajdakiem? – To wino mówi przeze mnie.

Wzdycha.

– Tak, wspominałaś o tym wiele razy.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059